

Mateusz Matyszkowicz: Mały traktat o byciu nie na czasie

Różne są szaleństwa. Najgorsze są jednak te, które z człowieka czynią tyrana czasu



Różne są szaleństwa. Najgorsze są jednak te, które z człowieka czynią tyrana czasu

W jednym z opowiadań z „Dzienników gwiazdowych” Stanisława Lema bohater wpada w pętle czasową. Żyjąc w poniedziałku, próbuje nawiązać kontakt ze swoim wtorkowym „ja”, które mu towarzyszy. W kulminacyjnym punkcie opowiadania tych równoległych tożsamości głównego bohatera jest kilka. Ta sama osoba uwikłana w pętle czasową

ulega podwojeniu, potrojeniu i wreszcie zwielokrotnieniu. Doprowadza go do szału niemożność działania i wyrwania się z tej pętli. Pętli, która jest dla niego zarówno szansą – daje bowiem możliwość naprawienia sterów, do czego potrzeba przynajmniej dwóch osób, jak i do szału, nie może się bowiem porozumieć z sobą samym, choćby z tym sobą z wczoraj, jak i z jutra.

Nie ma współczesnego człowieka

To opowiadania oczywiście o problemie tożsamości człowieka w czasie, ale i w pewnym sensie można je odnosić do społecznej terażniejszości. Nie trzeba specjalnych wirów i nie ma konieczności wielkiej podróży kosmicznej, nie potrzeba też wielu milionów lat świetlnych, by pętli czasowej doświadczyć i żyć ze sobą z poniedziałku, wtorku i środy. Wbrew bowiem temu, co głoszą piewcy nowoczesności i ponowoczesności, nie ma czegoś takiego, jak człowiek współczesny. Społeczeństwo składa się z ludzi, którzy mają swoje korzenie i swoje punkty odniesienia w różnych historycznych momentach, czerpią z różnych tradycji, w różny sposób formułują swoje argumenty i różnych używają pojęć.

Twierdzenie, że coś przestało być aktualne, bo czasy już nie te same i że jakaś epoka ma swoje wyzwania, jest absurdalne. Kiedy mówimy o kimś, że jest na przykład człowiekiem przedwojennym, mamy na myśli to, że odwołuje się do pewnych postaw, które były powszechne kilkadziesiąt lat temu. I teraz, owszem, że rzadsze, bo zmienił się system wychowania a komuna przeorała świadomość kulturową. Ale

nie powiemy (a przynajmniej nie powinniśmy mówić), że człowiek jest nie na miejscu, że robi coś złego. Powiemy najwyższej, że jest nie na czasie, bo nie pasuje do reszty.

Ale i w tym będzie coś mało precyzyjnego, bo co oznacza bycie nie na czasie, skoro czas jest pojęciem względnym, a człowiek człowiekowi niepodobny. Doprecyzujemy więc, że bycie nie na czasie łączy się z dystansem do tego, co bieżące. Nie powinno to być zaś żadną anomalią, bo człowiek z zasady dąży do przekroczenia tego, co jest tylko bieżączką i chwilą, i chce zakorzenić się w czymś znacznie trwalszym. Historia daje pewien przyczynek do tego trwałego zakorzenienia. Widzimy dzięki niej, jakie postawy się już sprawdzały, a jakie prowadziły do zguby. Człowiek nie na czasie zatem to taki, który wyciąga z przeszłości wnioski i nie tyle trzyma się jej bezmyślnie, co – zachowując krytycyzm – wybiera postawy najlepsze (albo i książki, bo książki nie na czasie są najbardziej warte naszej uwagi).

Człowiek nie na czasie nie jest zatem człowiekiem z poniedziałku czy wtorku, ale z całego tygodnia naraz, bo nauczył się syntetyzować rozmaite doświadczenia. Człowiek uczy się przez doświadczenie. Doświadcza zarówno na sobie, jak i za pośrednictwem innych – właśnie wtedy, gdy słucha i czyta, co przeżyli inni i jakie z tego wyciągnęli wnioski. I tak jak niektórzy podkreślają, że do właściwego rozwoju społecznego nieodzowna jest dobra komunikacja, bo wtedy ludzie uczą się od siebie wzajemnie i korzystają ze swoich doświadczeń, wreszcie współdziałają, to tak samo jest byciem w czasie. Przeszłość buduje nasz naturalny system doświadczeń i pozwala na komunikację, w której przekraczamy nasze współczesne doświadczenia i zakorzeniaamy się w o wiele szerszym kontekście.

Kiedyś taka kumulacja doświadczeń historycznych była wręcz częścią systemu konstytucyjnego. Unikano więc gwałtownych rewolucji i systemowych przemian, wierząc, że wszystko powinno dokonywać się raczej na drodze ewolucji, która nie neguje przeszłych doświadczeń. Kolejne pokolenia starały się raczej dodawać coś do tego, co wypracowały wcześniej niż odrzucać je i niszczyć.

Negacja przeszłych doświadczeń jest w tym sposobie ujmowania rzeczywistości rodzajem wandalizmu i to wandalizmu okrutnego. Bo zniszczony bohomazami mur można odnowić, z systemem społecznym jest to o wiele trudniejsze, jeśli nawet nie niemożliwe. Niszczcie tylko to, co potraficie odbudować, mawiał do socjalistów Brzozowski, a ci jakoś go nie posłuchali.

Bycie na czasie to bycie rewolucjonistą. Bycie rewolucjonistą zaś wiąże się z pychą. Pyszny jest człowiek, który uważa, że on i jemu współcześni wypracowali coś lepszego niż pokolenia, które go poprzedzały. Pychą jest głosić, że normy, które sami wymyślimy lepsze są od tych, które wypracowano w ciągu wieków. Pyszne i głupie jest przekonanie, że do osiągnięcia lepszego stanu społecznego konieczne jest doprowadzenie do ruiny pracy innych ludzi.

Nie masz do tego prawa

Kto bowiem dała nam do tego prawo? Kto, na przykład, domagającym się reformy nauczania Kościoła dał prawo do samowolnego ustalania nowego kanonu prawd? Jakim sposobem wybierają te właściwe? Kto

stawia się ponad innymi?

Rewolucjonista, człowiek na czasie, jest zatem pyszny. W swojej pysze jest przekonany, że wie wszystko lepiej od innych – zarówno tych, którzy są jemu współcześni, ale poglądów szaleńca nie podzielają, jak i przede wszystkim tych, którzy żyli wcześniej. Jako człowiek pyszny i wynoszący się kultywuje w sobie cechę, przed którą twórcy naszej cywilizacji zawsze przestrzegali, a więc despotyczność. Człowiek pyszny z natury jest despotką. Jeśli wynosi się ponad innych, to w wyższości swojej uważa, że może narzucać innym, co mają myśleć. Jeśli tę granicę przekroczy, nie cofnie się już przed niczym. Rewolucjoniści, którzy widzą, że upragniona zmiana się nie przybliża, ani nie staje się sama, zwykle zaczynają używać argumentów siłowych.

I choć prorocy rewolucji, jak chociażby Karol Marks, nie planowali czegoś, co wydarzyło się choćby w Rosji w 1917b roku, to jednak nerwowość i pycha socjalistów musiały do tego doprowadzić. To Lenin pierwszy zobaczył, że rewolucja nie jest tyle prawem historii, jak chcieli Marks i Engels, ale dziełem ludzkiej woli, która ku tej zmianie powinna prowadzić. Tak narodziła się nowoczesna despotia.

Współcześni rewolucjoniści chcą te zasady odwrócić. Pragną przekonać wszystkich, że despotyczne jest to, co przeszłe. Konserwatywny system wychowania uznają więc za tyrański i niedemokratyczny, w zamian proponując własny. Tak naprawdę to oni jednak jest przeciwnikami tego, co wolne i demokratyczne. Mówią, że sami powinniśmy wybierać, ale tak naprawdę chodzi o to, by wybierać to, czego oni chcą. Jeśli nie przyjmiemy tego, pojawi się siła. Siła naciąganych i emocjonalnych argumentów, siła prawa pisanego pod dyktando lewicujących

mniejszości, siła wreszcie całego aparatu państwowego, jeśli tylko wpadnie w ich ręce. W dzisiejszym świecie właśnie to, co konserwatywne poddane jest najsilniejszemu terrorowi i wyparciu.

Współcześnie żyjącym odbiera się prawo do przeszłości, jakby przeszłość była trucizną, jakby miała czymś zarażać i terroryzować. Człowiek może powoływać się na dowolną głupotę, byleby nie kojarzyła się za bardzo z tym co przeszłe i niedzisiejsze. Dzisiejszość staje się nowoczesną tyranią. I to dzisiejszość interpretowana i podawana do wierzenia przez tych, którzy samozwańczo uznali się za elitę społeczną, współczesnej pseudointeligencji bez klasycznego wykształcenia, bez klasycznej empatii, bez zakorzenienia.

Bycie konserwatystą, bycie nie na czasie, wolne obalenie tej okrutnej tyranii czytania i omawiania tego, co akurat wyszło spod ręki kilku światowych autorytetów, do dystansu wobec tego, co mówią i myślą wszyscy dookoła w imię tego, co mówili i napisali ludzie z przeszłości, staje się prawdziwą rewoltą. Każda inna forma naznaczona jest konformizmem. Dzisiaj to właśnie straszni mieszczanie obalają stare mity, przynależy to bowiem do dobrego tonu i jest warunkiem wejścia w lepsze towarzystwo. W tonie jest zniszczyć własną rodzinę i rodzinę przyjaciół. W dobrym tonie jest wystąpić z Kościoła. W jeszcze lepszym tonie nasikać na krucyfiks. Nie ma w tym żadnego buntu, skoro zapewnia dostęp do najlepszych galerii i teatrów.

Prawdziwym buntem w teatrze jest więc powrót do teatru klasycznego. Buntem w malarstwie –klasyczne malarstwo. Zerwaniem z tą pychą, która niszcząc pojedynczych ludzi, destrukuje społeczną tkankę i czyni ją niezdatną do działania. Jak w opowiadaniu Lema, kiedy to człowiek z

poniedziałku, wtorku i środy nie mógł porozumieć się z samym sobą i co za tym idzie nie mógł działać. Wszystko chciał zagarnąć dla siebie, jakby przestrzeni było mało, jakby nie starczyło miejsca i umysłu dla tego, co wczoraj.

Szto dielat'?

Pozostaje jednak pytanie, jak walczyć. Czy samemu stać się rewolucjonistą? Czy po prostu mechanicznie odrzucać wszystko, co nowe? Byłoby w tym tyle samo pychy, co w rewolucyjnych zbirach. Byłoby to przekonanie, że sami posiadliśmy jedyne i niepodważalne prawo do tego, by tradycję interpretować. Tradycjoniści często pozwalają na to, by tradycja umarła, by przestała być czymś żywym i rozwijającym się. By system norm stał się rodzajem fotografii z przeszłości. To nie jest żadne bycie nie na czasie, ale bycie w jakimś konkretnym czasie, tyle, że wyciętym z przeszłości. Wycinanką łowicką i to zrobioną niewprawną ręką i tępymi narzędziami.

Czymże jest czas? Pytał św. Augustyn. Kiedy nie pytasz wiem. Kiedy zapytasz, już nie wiem. Podobnie jak rewolucji powinniśmy unikać innej pychy, dość podobnej do tej z lewicy. Tej, która każe nam uważać się za półbogów, którzy swoim przenikliwym spojrzeniem ogarnęli całą historię. A potem uczepili się jakiegoś czasu, jakby to był sakrament, czyli brama zbawienia.

Lepiej wybrać życie poza czasem.

Mateusz Matyszkowicz

Tekst ukazał się w listopadowym numerze Nowego Państwa